Nr. 20. We Lwowie dnia 20. maja 1900. Rok 8.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Dr. Antoni Nyström.

Podczas kiedy w dawnych ogniskach polonofilstwa, sympatje polskie stopniowo wygasają, lub są już tylko wspomnieniem, a czasem nawet zmieniają się w niechęć i antypatję, to w innych natomiast krajach, w krajach dawniej ściśle z Polską związanych, budzić się poczyna coraz większe zainteresowanie się naszą sprawą narodową, naszą walką z ciemięzcami, naszą literaturą i sztuką i wogóle wszystkimi objawami życia naszego narodowego.

W krajach skandynawskich ruch ten sympatyczny, zainaugurowany przez Brandesa, wzbudził pamięć o niedawnych jeszcze sympatjach dla uciśnionego narodu, dla obrony którego wielu skandynawów krew swą w powstaniach przelewało, a pozostali w domu hojne datki składali. Liczny zastęp tłómaczów naszej literatury, jak Alfred Ibsen, panna E. Wester, pani L. Nyström itd. obznajmiają inteligencją skandynawską z celniejszymi utworami naszej literatury. Teraz zaś i głębsze warstwy ludowe znalazły inicjatora do studjów nad historją polską, starą i teraźniejszą.

Inicjatorem tym jest dr. Antoni Nyström w Sztokholmie, który przez jesień roku 1899 i wiosnę roku 1900, miewał w „Instytucie Robotniczym“ w Sztokholmie odczyty o Polsce. Celem tych odczytów było zaznajomienie klas pracujących z dziejami naszej ojczyzny i historją wiekowego oporu wobec rządów zaborczych.

By zrozumieć, jakiego przyjaciela i sprzymierzeńca sprawa Polski znalazła w doktorze Antonim Nyström'ie, nieodzowną jest rzeczą poznać jego działalność na polu społecznem w Szwecji,— poznać, czem był i czem jest dla swego narodu.

Najlepiej można, zdaje mi się, scharakteryzować działalność dr. Antoniego Nyström'a, jako „budzącą“; i to na każdem polu, tak naukowem, jak politycznem i socjalnem.

Dr. Antoni Nyström urodził się w r. 1842. Po ukończeniu gimnazjum, poświęcił się studjom lekarskim, a w roku 1868 otrzymał stopień doktora, po obronie tezy „O kretynizmie i idjotyzmie“. Już przy tej sposobności można się było dopatrzeć w młodym lekarzu przyszłego reformatora, w rozprawie tej bowiem wyłuszczał nowe, ówczesnym poglądom przeciwne teorje, co wielkie wywarło wrażenie, lecz wywołało także i namiętną opozycję. Opozycja zaś stawała się coraz zawistniejszą i gwałtowniejszą, im bardziej dr. N., postępując drogą otwartej dyskusji, i nie hołdując żadnym dawnym zapatrywaniom, coraz energiczniej i świadomiej począł wywracać utarte stary dogmaty naukowe. Walka ta postępu z zacofańcami dosięgła najwyższego punktu w sprawie „chorób skórnych“. Dr. Nyström utrzymywał bowiem, iż choroby te, jako najczęściej konstytucyjne, należy leczyć konstytucyjnie.

Owa właśnie walka czysto naukowa spowodowała wmieszanie się dr. Nyström'a do polityki i do ruchu robotniczego w Szwecji.

Badania dr. Nyström'a nad chorobami skórnemi wskazały mu, iż wielka ilość tych chorób znajduje swe przyczyny w niedostatecznem, lub niezdrowem odżywianiu się niższych warstw społecznych, w złych i ciasnych mieszkaniach, w różnych nałogach i ciemnocie. W skutek tych badań doszedł dr. N. do wniosku, iż najpewniejszem lekarstwem jest leczenie złego w samym zarodku, i że odrodzenie rasowe narodu powinno się odbyć przez podniesienie moralnego i umysłowego poziomu ludu, przez oświatę przekształcającą „człowieka — machinę roboczą“ na człowieka świadomego siebie i świata, który go ota-

cza. Tak wysnuty wniosek stał się jego myślą przewodnią. Idąc więc za wskazówkami tej ideji, zajął się gorliwie studjami społecznemi, i wtedy to wydał liczne broszury filozoficzne i historyczne itd., w których występował w obronie prawdy, przeciwko bezpodstawnym i tendencyjnym fałszowaniom historji. W dalszej pracy nad rozwiązaniem zawiłych zagadnień socjalnych odczuwał brak ścisłej metody, przy pomocy której, idąc w kierunku postępu i polepszenia bytu dla całej ludzkości, możnaby znaleźć pewne prawidła, służące do osiągnięcia wspomnianego powyżej celu. Prawidła takie i metodę odnalazł w filozofji Augusta Comte'a, i odtąd stał się jej zwolennikiem.

Pozytywizm dodał Nyström'owi nowych sił. Od tej chwili zaczyna działać energiczniej i z większą świadomością celu, do którego dąży. Nastąpił wreszcie rok 1875 i w tym to roku Nyström przedstawia pierwszy plan swego wiekopomnego dzieła, to jest „plan zorganizowania szkoły dla warstw niższych", w którejby odbywały się wykłady popularne, przedewszystkiem nauk przyrodniczych i historji. Przy takiej szkole miały być również i czytelnie ludowe. Plan jego pozostał jednak na razie w sferach marzeń. Nie zraziło to jednak dr. Nyström'a, lecz przeciwnie stało się bodźcem do zakładania stowarzyszeń postępowo-naukowych. Dla wzbogacenia swej wiedzy na polu socjalnem przedsięwziął liczne podróże po Niemczech, Francji i Anglji.

Gdy w roku 1879 wybuchł pierwszy strejk robotników szwedzkich w Sundswalu, nierozsądne postępowanie władz miejscowych, podburzanych przez fanatyczne napaści zacofańców, obawiających się jakichś spisków przeciw społeczeństwu, dało powód dr. Nyström'owi do wystąpienia (był to jego pierwszy publiczny występ) w obronie praw ludzkich. Od tego czasu piętnuje on należycie wszelką politykę gwałtownego uśmierzania strejków roboczych przez władze, organizuje partje robotnicze w jedno stronnictwo polityczne, świadome swego celu, silne samopocą i jednością, walczące tą samą bronią, co i inne polityczne stronnictwa w kraju.

Myśl atoli utworzenia szkoły ludowej, o której wyżej wspomniałem, nie opuszczała go, bo oto w roku 1880 przedkłada po raz wtóry założonemu przez siebie „Stowarzyszeniu reformy" (Reformföreningen), projekt założenia takiej szkoły. Nadszedł rok 1881 wraz z wielkim strejkiem robotników, w którym dr. N. bierze czynny udział, tworząc z delegatami robotników „komitet dla zbadania idei stowarzyszeń fachowych".

A dzięki jego działalności niesforne przedtem tłumy robotnicze, zrozumiały, iż tylko w jedności i ładzie znajdą siłę i szybciej do znaczenia politycznego prawną drogą dojdą. Ruch organizacyjny, zainaugurowany przezeń tak się rozwinął, iż robotnicy szwedzcy tworzą dziś silną organizację, nienaruszając w niczem ładu i porządku społecznego.

Podczas, gdy w roku 1889 we Francji do świętujących 1. maja robotników strzelano, to równocześnie w Sztokholmie 20000 robotników w największym porządku zebrało się w „alei Karolów" i strzegąc porządku przez swych własnych komisarzy, udało się na pole manewrów, by tam swych mowców wysłuchać.

Tak się przedstawia działalność dr. A. Nyström'a na polu organizacji robotniczej.

Działalność ta jednak, wzbudziła szereg nieustających na niego napaści ze strony liberałów, konserwatystów i klerykałów. Nie mogą mu oni przebaczyć, iż żąda politycznego równouprawnienia dla klasy, nad którą oni przywykli panować, a klerykali do tego wszystkiego zarzucają mu, iż nie pracuje dla chwały Bożej, ale dla jakiejś tam idei ludzkości. Ci ostatni w swej zaślepionej ku dr. Nyström'owi nienawiści, rzucili się nań z całą bezwzględnością, zwłaszcza, gdy wystąpił przeciwko tyranji protestanckiego kościoła w Szwecji, który jedynie z podatków ciągnie korzyści, i chce uzyskać wyłączną władzę nawet i w rodzinie z krzywdą innych wyznań.

Wystąpienie przeciw takiemu postępowaniu władz duchownych protestanckich zaznaczył dr. Nyström w r. 1884, założeniem „Stowarzyszenia dla obrony wolności religijnej". Stowarzyszenie to przyczyniło się do polepszenia stosunków religijnych w Szwecji, aczkolwiek nie zdołało znieść krzywdy innych wyznań. a mianowicie przymusu płacenia podatków na rzecz jednego panującego kościoła protestanckiego.

Rok 1885 przyniósł największe dla skandynawji, epokowe dzieło Nyströma pt. „Historja powszechna ludzkości" (Allmän kulturhistorya) w czterech tomach. Dzieło to, mające na celu przedewszystkiem naukę historji powszechnej w sposób popularny, chociaż jest pisane w stylu zajmującym i ozdobione licznymi ilustracjami, to przecież ma czysto naukowy charakter i podaje do wiadomości tylko dowiedzione fakty. Godną jest podziwu objektywność sądów, z jaką ów protestant z kraju Gustawa Adolfa potępia nietylko fanatyzm protestancki, lecz także fałsze i przesądy rozpowszechnione o kościele katolickim.

Historja ta, aczkolwiek względnie droga, doczekała się już dwu wydań, znaleźć ją można wszędzie w rodzinach szwedzkich, gdzie służy za najdokładniejszy podręcznik.

W czasie tej jego działalności projekt, rzucony w roku 1880 rozwijał się pomyślnie.

(D. n.).

Wł. Orkan

Z TEJ SMUTNEJ ZIEMI...

(2) (KOMPOZYCJA LIRYCZNA)

Wśród łanów sennych i sennych ugorów,
Wśród tej bezmiernej pustki i bezkresnej,
Jakby dalekie zaświatów zjawisko —
Nakształt mgły wiotkiej, zwiewnej, bezcielesnej,
W otęczy szarobłękitnych kolorów
Przepływającej po nad ziemią nizko —
Widnieje w słońcu, przeźroczyście biała
Postać Chrystusa... Ramionami swemi
Piersi przyciska, jakby z mogił wstała
I niezakrzepłe miała w sercu rany.

Jak nędzarz świata, który na tej ziemi
Nie ma i kąta, gdzieby głowę skłonił —
Tak Syn człowieczy schodzi na kurhany,
Na groby, które pył wieku osłonił,
Na tę krainę łez i wiecznych cieni,
Krainę smutną brzóz, jodeł i sosen,
Gdzie głód się rodzi i owies zieleni,
A ludzie dawno zapomnieli wiosen.
Schodzi na pustki, ugory i niże
Z wielką białością południowej ciszy,
Z wiecznym spokojem dusz, niosących krzyże,
Z umarłą pieśnią, której nikt nie słyszy.
I po tej ziemi idzie przez pustkowie
Martwe — w dal jakąś nieskończenie wielką,
Za którą leży mrok... Na złotej głowie
Łza matki jego zastygła kropelką
I błyszczy w słońcu, jak na tęczy rosa,
Włosy wiatr mąci... od każdego włosa
Smugi się złote na ramionach kładą;
Bladoróżowe z nich padają zorze
Na twarz wychudłą, bolesną i bladą
I rozświetlają, jak słońce, gdy złoci
Białe, na liściach rozwieszone płótno.
Oczy anielskie, z których błyszczy morze
Łez i jezioro nadludzkiej dobroci,
Patrzą w bezkresną dal — bezmiernie smutno...

Rzędem jałowce zasępione siedzą
I ośniedziałe zboże się kołysze,
Gdy Syn człowieczy znędzniały i bosy
Wśród głuchej pustki idzie wązką miedzą.
Wstają ku Niemu wiatrów towarzysze:
Łzawa Niedola, rozpuściwszy włosy,
Jak siny obłok przez powietrze leci;
Wychudła Nędza wlecze się po tłoku
I z niemą prośbą wyciąga swą szyję.
Ból się w jałowcach po za cieniem kryje,
Lecz jęk zalata hen — i ogień świeci,
Jak fosforyczne próchno, w jego oku.
A ciemna Rozpacz z wiatrem się szamoce
I ręce łamie nad głową i wyje,
Jak zawierucha pól w zaduszne noce.
Za odchodzącym w dal wołają: »Chryste!...«
I wyciągają w przestrzeń swe ramiona,
Tam — gdzie mgławice kręcą się wieczyste,
Gdzie się poczyna pustka nieskończona...
A On tym smutnym i cierpiącym srodze
Samotne krzyże wskazuje po drodze
I niezastygłe jeszcze w dłoniach rany
I wydeptane ścieżki na kurhany.

I gdy tak smutny w milczeniu przechodzi
Łany ziół pełne, chwastów i kąkolu —
Widzi na pustem i odludnem polu,
W miejscu, gdzie na krzyż droga się rozchodzi,
Poszytą w żółty mech — kapliczkę z drewna,
Przy niej człowieka, klęczącego w pyle;
Modlitwa jego prosta jest i rzewna.
I, niewidziany, staje niemą chwilę,
Żałośnie patrząc, jak Dusza, gdy wodzi
Okiem po świecie obcym, bezrozumnym.
I niepoznany — w smutku swym — odchodzi.

Z po za drzew biały, drewniany kościółek
Kłania się wieżą, którą lotem szumnym
Obiega stado kawek i jaskółek.
Nadchodzącemu otwiera się drzwiami,
Z których wylata chmurą woń kadzidła
I gorzki zaduch zwartych w ciżbę ludzi.
Z tych część wprawnemi modli się wargami
Do oprawnego w ołtarz malowidła,
Druga część drzemie, a reszta się budzi,
Gdy sygnałowy dzwonek się rozlegnie
I ziewa, jak to czynią ludzie prości
Kiedy się nudzą... Nikt nie myśli o tem,
Że Syn człowieczy, zrodzony w nizkości,
Na ziemię schodzi — nikt kolan nie zegnie
Przed Synem bólu, stojącym u progu,
Od wieków istnym w zadumań kościele,
Gdzie lny i zboża kładą się pokotem,
A bożej męki kwiat posadzki ściele.

I przeszedł Chrystus mimo — idąc dalej —
Nieznany ludziom, obcy temu Bogu,
Któremu świece lud w ołtarzach pali.

I coraz więcej łez do serca spływa
I coraz wyżej falami się spiętrza —
Gdy idącemu życie się odkrywa,
Gdy mu się stają widne chałup wnętrza.

Widzi gromady zajadłe i wściekłe,
Wzajem na siebie podnoszące ręce,
Postaci straszne, czarną krwią ociekłe,
Twarze zsiniałe i napół zwierzęce.
Rodziny widzi, które dzień odchodzi
Przy kłótni, a noc przy bitce spotyka.
Widzi, jak córka własną matkę głodzi,

A syn rodzica do chlewa zamyka - -
Słyszy przekleństwa, rzucane na dzieci
I na swych ojców, którym już nie świeci
Pamięć niczyja... Litanje złorzeczeń,
Z ust do ust prawie idące od wieków,
Jak stare mity... wszystkie te rozpacze
Głodzonych jaskiń, próby odczłowieczeń,
Fale czerwone spadających ścieków —
Słyszy i widzi... I łzą odkupienia
Czystą, serdeczną w swojem sercu płacze —
Nie nad złem wielkiem, co się rozprzestrzenia,
Ale nad nędzą, która to zło rodzi.

I w takim smutku osiedla przechodzi,
Jak Żal, co nigdy odpoczynków nie miał,
Stare cmentarze opłakując rzewnie,
Aż wreszcie — świeże widząc groby, że w nie
Żywi się kładą w rozpaczy — oniemiał,
I odtąd idzie w smutku swym i głuszy
Za trumną własnej, oniemiałej duszy.
Głowa na piersi znużona opada;
I staje Mu się twarz widmowo blada,
Gdy krew do serca uchodzi po kropli;
A włosów strączki w kształt lodowych sopli,
Deszczem płynących w południa gorącu,
Perlistym potem ociekają w słońcu.
I we mgle potu, gdy idzie przez łęgi,
Tworzą się z pereł smużne światłokręgi —
Stubarwne tęcze wiszą Mu nad głową.
A gdzie na trawę stąpi nogą bosą,
Tam krew się miesza z przeźroczystą rosą,
Znacząc śladami tę drogę krzyżową.

Zapatrzon w księgę żywotów okrutną,
Pod łez ciężarem częstokroć upada.
Wówczas Mu ziemia jękiem opowiada
Żywota swego epopeję smutną:
Ile grobowców szatą swą okrywa,
Ile ciał martwych bez trumien spoczywa
Pod jej opieką... Ile krwawych wschodów
Przeżyła senna... Ile już narodów
Deptało po niej, sądząc, że umarła —
Jakie tu nad nią walk wisiały dymy
I jakie deszcze spadały ogniste,
W krwawych potokach dając jej ochłodę...

»W cichości znoszę ukochania mękę:
Stróżując grobów« — szepce. — »Lecz, o Chryste!
Czy mnie ukocha pokolenie młode?«
A On, powstając, w mrok wyciąga rękę
I rzecze smutno: »Ukochało cienie...«
I na powietrzu krzyż nad ginącemi
Czyniąc — odchodzi... A jęk smutnej ziemi,
Rozdzierającej w żalu mgieł odzienie,
Płacze w Nim samym, dokoła i wszędzie...
I czuje sercem, że na tej tu ziemi
Niema spoczynku dlań — bo gdzie usiędzie,
Wyjdą ku Niemu skargi, łzy i modły
I wszystkie krzywdy przypełzną pod nogi
I wszystkie płacze zejdą się wieczyste
I poczną wołać: »Oto nas zawiodły
Jasne nadzieje; oto nas i bogi
Już opuściły... Chryste! ratuj, Chryste!...
A On wołania te słysząc płaczliwe,
Skonałby z żalu i osrebrzył lice,
Spokojem martwych patrząc w nieszczęśliwe,
Jako się patrzą lodowe księżyce.

Na tej tu ziemi łez i wiecznych cieni,
Ziemi płaczących brzóz, jodeł i sosen —
Gdzie ludzie dawno zapomnieli wiosen,
W jesienie własnych smutków zapatrzeni,
Na ziemi smutnej opuszczonych łanów,
Ziemi omszałych mogił i kurhanów —
Spoczynku nie ma...
I nigdzie nie spocznie
Chrystus, po grobach smętnych idąc dalej
W kraj widnokręgów, szarzejących mrocznie,
Kędy tęsknota błędne ognie pali...
I przy zachodzie zórz, krwawiących szczyty,
Wstępuje Chrystus na górę olbrzymią,
Stromą i pustą, skąd widok odkryty
Na obszar niemy... Kaskady się dymią
U stóp, a dalej sino-łuskie węże —
Błękitne rzeki wiją się daleko,
Gdzie wzrok spienionych paszcz ich nie dosięże...
Mgły ponad niemi powietrzem się wleką
I, jak znużone wędrówkami ptaki,
Chmurami wodne obsiadają krzaki...

(D. n.).

Ekonomista polski XVI. wieku.

II.

Przewrót ekonomiczny, którego najpierwszym wyrazem był zamęt w pojęciu wartości a ceny, był kwestją palącą, wyniki jego bowiem opanowały zarówno budżet państwa, jak i budżet najbiedniejszego z chłopków: nie było instytucji, nie było człowieka w granicach Rzeczypospolitej, który, biorąc choć pośredni udział w gospodarce narodowej, nie czułby skutków tego przewrotu. Barometrem zmiany wartości towarów był pieniądz: „Co kwartał cena pieniądza idzie w górę, tymczasem wartość jego się nie zmienia“, — powiada Modrzewski.

Korzec żyta, który w r. 1520 w Krakowie kosztował 73 grosze, kosztował w 1551 r. — 152 grosze. W r. 1520 liczył czerwony złoty niespełna 38 groszy, w r. 1551 liczył ich przeszło 51.

Kto w r. 1523 pożyczył 10 czerwonych złotych, gdy równały się 380 groszy, musiał w r. 1528 oddać 450 groszy. Zdawałoby się, że poniósł szkodę: tymczasem 380 groszy z r. 1523 równe były $24^{10}/_{38}\cdot 10 = 242$ gram srebra czystego, a 450 groszy z r. 1538 wyrównały $20^{220}/_{45}\cdot 10 =$ 204 gr. sr. cz. — Na czysto więc zarobił.

Nominalnie i faktycznie ceny ziemiopłodów szalenie się podniosły: stosunek ich do innych towarów się zmienił, pieniądz przestał być porównawczą miarą cen, a chaos prawdziwy ogarnął cały ekonomiczny ustrój. Faktem najważniejszym, najbardziej bijącym w oczy, bo najbardziej dotkliwym, było podnoszenie się cen zboża. Fakt to był tem dotkliwszy, że tyczył się w pierwszej linji cen żyta. Pszenicy zasiewano podówczas jeszcze niewiele. Gdy cena pszenicy się podnosi, można robić oszczędności, zadawalniając się mąką żytnią, lecz gdy żyto drożeje, jest to już trudniej.

Aby zapobiedz złemu, zbadać należy jego przyczyny. Nieświadomym będąc analogicznego stanu rzeczy na Zachodzie, co powinnoby naprowadzać na domysł istnienia przyczyn międzynarodowych, Modrzewski wykazuje następujące przyczyny lokalne:

1. Zwiększony eksport zboża z Polski zagranicę.

2. Monopole i towarzystwa handlowe, spekulujące na handlu zbożem.

3. Nadmierny dowóz rzeczy kosztownych, a do zbytku tylko służących, jednym z wyników którego był wywóz pieniędzy z kraju. W niechęci, jaką żywi Modrzewski do wywozu pieniędzy zagranicę, znać pierwsze początki merkantylistycznej teorji. Radby chętnie zatrzymać pieniądze kraju i odciąć wszelkie ich odpływy przez zniesienie Annat, czyli podatków Rzymowi składanych, oraz najemnego żołdactwa, którego utrzymanie w XVI. wieku kosztowało Rzeczpospolitę olbrzymie sumy*).

4. Jako jeden z powodów drożyzny uważa Modrzewski zmiejszanie się wartości pieniądza.

Wobec tych organicznych wad ekonomicznego ustroju zaleca Modrzewski, aby ścisła kontrola eksportu zboża pozostawała w ręku rządu, któryby wydawał koncesje na eksport ograniczonych ilości.

Jeśli Modrzewski był przekonany, że eksport zboża da się ująć w normy prawne, to nie robił sobie tej iluzji o innej kwestji — w kwestji położenia tamy spekulacjom na zbożu. I to świadczy najlepiej, że nie był on tylko teoretykiem, nie budował systemu na przesłankach oderwanych, lecz liczył się z życiem realnem. Wiedział on dobrze, że wszelkie normy prawne są bezskuteczne wobec spekulacji i dla tego też podług niego państwo ma wystąpić do walki ze spekulantami nie w charakterze władzy prawodawczej, lecz w charakterze ekonomicznej organizacji. Modrzewski projektuje wybudowanie spichlerzów publicznych, zakupywanie zboża masami po cenach możliwie niskich i zaopatrywanie niem rynków zbożowych w miarę potrzeby, normując cenę tak, aby zmusić spekulantów do pozbycia się zboża po cenie przystępnej.

Liczenie się z rzeczywistością wyraźniej jeszcze przebija w uwagach, które Modrzewski poświęca kwestji monetarnej. Modrzewski uważa ją za wynik stosunków międzynarodowych. Podczas gdy do Polski napływa niesłychana ilość złego zepsutego pieniądza z zagranicy, — dobry polski pieniądz znika zagranicą. Uwaga ta jest najzupełniej trafną, choćby dlatego, że polega na bezpośredniej obserwacji. Lecz o ile Modrzewski umiał w danym razie krytycznie ocenić stan rzeczy, rady podać nie umiał.

Zakazać wywozu pieniędzy z kraju — na to żadne prawodawstwo rzucić się nie może, bo napewno nie osiągnie rezultatu. Modrzewski ocenił to trafniej, niż politycy hiszpańscy czasów Filipa II. Jeden jest tylko sposób: niech i Polska bije złą monetę — „lecz wątpię, dodaje Modrzewski, czyby to nie było z uszczerbkiem Rzeczypospolitej**)“. I nie mylił się doświadczony polityk: jeśli przełom ekonomiczny w Polsce w XVI wieku nie był nacechowany tak daleko idącem dyscredytowaniem skarbu królewskiego i państwowego, jak w całej Europie ówczesnej, zawdzięczać to tylko można stosunkowo nieznacznemu pogorszeniu się wartości pieniądza... (D. n.)

K. R.

Ocknienie.

Dramat w 3-ch aktach

przez

Dr. Kazimierza Rakowskiego.

Nagrodzony zaszczytnem odznaczeniem na konkursie dramatycznym Wydziału krajowego 1900 roku.

Dokończenie

SCENA VI.

Gertruda (rzucając się ku ojcu). Ojcze, ojcze, tyś dobry! Ty nie chcesz, aby twoja córka cierpiała... Ty możesz wszystko odrazu naprawić. — Jakaś tajemnica, jakaś niewidzialna przeszkoda nam obojgu życie łamie...

*) Pag. 61.

**) Pag. 94.

Malczewski (powstrzymując ją). Pani! — nie wspominaj o tem...

Profesor. O czem mówisz, córko?

Gertruda. Ja tak gorąco pragnęłam być tu — zobaczyć tę ziemię, którą kochałam, nie znając jej — i tu pomiędzy nami stanęło coś, jak mur, co nas roztrąca... — Ojcze, on chce odejść nazawsze... on chce pożegnać nas bez-po-wrot-nie.

Profesor (przyciskając Gertrudę do piersi). Biedne, biedne moje dziecię — (do Malczewskiego). Pan im opowiedział dzień wczorajszy? Pan mnie przed niemi oskarżył?

Malczewski (z prostotą). Nie, panie — to mnie pan nie zna, jeśli mnie pan o coś podobnego posądza... A jednak...

Profesor. Więc sądzisz pan, że we mnie dzień wczorajszy pozostawił uczucie niewygasłej zemsty, że wroga masz we mnie?... Czy to jest ta przyszkoda, o którą się rozbić mają wasze młode życia? — O, kto w tak krótkim czasie tyle przebył, co ja przybyłem, ten jest zdolny przebaczyć i zapomnieć o gorszych zniewagach... Ja nie mam niechęci ku panu i aby usunąć tę przeszkodę — oto moja ręka — (wyciąga dłoń do uścisku).

Gertruda (z wybuchem radości). Ja wiedziałam, że ojciec... (spogląda na Malczewskiego). Co to znaczy?

(Profesor stoi z wyciągniętą dłonią. Malczewski. blady, nie podaje mu swojej. Trwa kilka sekund walka wewnętrzna w jego duszy. Wreszcie twarz jego nagle oblewa się purpurą, a z ust urywane wychodzą słowa).

Malczewski. Ja — panu ręki — podać — nie mogę. Oto przeszkoda — (do Gertrudy, wybiegając). Nazawsze — nazawsze...

(wybiega).

SCENA VII.

Gertruda. Ojcze! Ojcze! co się stało? Co to znaczy?

Malwina. Mężu, powiedz, my nie wiemy, co się tu w około nas święci?— Co zaszło wczoraj.

Gertruda (płacze). On pożegnał mnie na zawsze. — Oh, ja nieszczęśliwa. — Ja go tak kochałam! (do matki) To mama winna wszystkiemu! Mama się gniewem uniosła i mówiła mu, że my jesteśmy Niemki. My nie jesteśmy... Ja nie jestem Niemką...

Profesor. Co takiego? Ty wypierasz się swej matki? Czy tego ci mało było ujrzeć, jak ten młokos mi ręki odmówił! Jak mnie śmiertelnie obraził, mnie, twego ojca, — a obraził w imieniu wszystkich tych, do społeczeństwa których chciałabyś należeć? Czy ci tego mało! No, to wiedz, co mnie tu spotkało, gdym po latach dwudziestu paru niebytności stanął w progu rodzinnego domu; nazwano mnie zbójem, bratobójcą! Odpowiedzialność za śmierć brata na mnie włożono, dlatego żem nie pospieszył z pomocą, gdy się po to do mnie zwrócono! Tyle lat o mnie się nikt nie troszczył, ja wyrosłem sam, sam sobie zawdzięczam wszystko, pozycję i znane imię — a tu mnie wzięto na egzamin z narodowości i z błotem zmięszano! Tyś nie ich współrodaczka, zapamiętaj to sobie! Ty z nimi nic wspólnego nie masz!

Patrz — po tych obelgach, po tem wszystkiem, postanowiłem uratować Księżopole, wyciągnąłem rękę do tych, co mnie wczoraj kamienowali — i widziałaś? Ostatnią to próbę zrobiłem dla twego szczęścia, dziecko! Nadaremnie.

Nie zaciągaj żadnych długów wobec tego społeczeństwa, bo ono je z ciebie wyegzekwuje wraz z duszą i skórą, jak ze mnie, po dwudziestu latach. Bądź Niemką! Oni cię i tak nie uznają za swoją!

Malwina. Zdaje mi się, że ktoś idzie do nas po schodach. Chodź Gertrudo (uprowadza ją, podtrzymując wpół).

Profesor (łagodniej), Getrudo — przyjdź tu za chwilę — później — pomówimy...

(kobiety wychodzą).

SCENA VIII.

(Profesor nadsłuchuje — kroki się zbliżają do drzwi — a potem oddalają. W tej chwili zagląda Malwina).

Malwina. To nie do nas?

Profesor. Zdawało się tylko — ktoś przechodził — ale minął drzwi.

Malwina. Pozostawiłam Trudchen samą. Niech się wypłacze — to zrobi jej najlepiej...

Profesor. Chciałaś pomówić ze mną o tych przejściach? Możesz śmiało.

Malwina. Co to dużo mówić! Wracajmy czemprędzej do Berlina. Im prędzej, tem lepiej...

Profesor. To nie tak łatwo, jak ci się zdaje. Ty najmniej jesteś dotknięta tem, co tu zaszło. Ale pomyśl: biedaczka ona — no i ja...

Malwina. Jakto? Czyż nie skończone wszystko?

Profesor. O moich sprawach nie mówię, bo te są tego rodzaju, że sam je tylko mogę załatwić.

Malwina (z przestrachem). Przecież nie będziesz się pojedynkował!

Profesor. O, nie obawiaj się. Takie głupstwa już się mnie starego nie trzymają. Są to inne sprawy — rachunek stary, zawiły... Ale o niej, o Gertrudzie, mówię: kupiłem dla niej Księżopole...

Malwina. Kupiłeś dla niej? Księżopole? Ależ to być nie może...

Profesor. A jednak tak jest. Nie będę ci się tłómaczył z pobudek — wybaczysz mi to, nieprawdaż. Zresztą one dziś dla mnie samego są mniej przekonywujące, niż w chwili gdym kupował...

(pukanie do drzwi).

SCENA IX.

Profesor. Proszę...

Radca Baer. Najmocniej przepraszam, sądzę, żem się tym razem nie pomylił. Wszak mam przyjemność z panem profesorem Beńkowskim, radcą tajnym z Berlina...

Profesor. Jestem... do usług...

Radca Baer. Jestem dr. Baer, radca królewskiej komisji kolonizacyjnej.

Profesor. A, pan radca, bardzo mi miło... Pan pozwoli, że go przedstawię mej żonie: Malwino — pan radca dr. Baer.

Radca Baer. Przepraszam najmocniej, jeślim się spóźnił, ale, popierwsze, ukręciło mi się koło u powozu z powodu złej drogi — a, powtóre, parę minut szukałem tu po omacku drzwi prowadzących do państwa. Służący powiedział mi zły numer.

Malwina. O, służba tutaj, to nie tak, jak w hotelach berlińskich. Zresztą korytarze ciemne — oświetlenia elektrycznego niema...

Radca Baer. Staramy się cywilizować ten kraj, łaskawa pani — ale z wielką to trudnością postępuje naprzód...

Profesor. Czy pan radca umyślnie dla zobaczenia się ze mną był łaskaw przybyć do tej mieściny?

Radca Baer. O tak. I to w bardzo ważnym interesie — właśnie dla sprawy postępu cywilizacji w tutejszej okolicy.

Malwina. Czy obecnością swą nie będę panom przeszkadzać?

Radca Baer. Nie sądzę, łaskawa pani.

Profesor. Zostań, Malwino. Służę panu, panie radco.

Radca Baer. Panie profesorze — wiadomo nam z Berlina, że królewski rząd może w zupełności liczyć zawsze na poparcie pańskie — nietylko w ścisłym zakresie pańskiej działalności urzędowej, ale i zresztą w stosunkach raczej prywatnych. Dlatego też z pełnem zaufaniem zwróciłem się do pana z prośbą o udzielenie mi chwili rozmowy. Chodzi tu o sprzedaż Księżopola.

Profesor. Ach, tak...

Radca Baer. Zapewne wiadomo też panu, że Księżopole wystawione jest na sprzedaż i że komisja kolonizacyjna jest jedynym niemal reflektantem. Mówiono mi jednak w mieście, że pan profesor poczynił jakieś kroki w celu cofnięcia licytacji... Rozumiem pietyzm wobec pamięci brata, który, niestety, tak różnił się wielce w działaniu swem od pożytecznej działalności pana profesora... Chodzi mi o wiarogodne informacje u źródła co do zamiarów pańskich. Sądzę, że obaj — jako urzędnicy królewscy — rozumiemy się: chodzi tu o sprawę urzędową...

Profesor. Księżopole kupiłem.

Radca Baer. Ależ czy to być może?

Profesor. To jest — właśnie — tak dobrze, jak kupiłem. Złożyłem sumę u notarjusza, któremu dałem plenipotencję działania w mojem imieniu. Licytacja się nie odbędzie...

Radca Baer. Więc pan profesor przecież nie zamierza się tu osiedlić?

Profesor. O, nie — bynajmniej...

Malwina. Nigdybyśmy nie mogli i miesiąca przeżyć w tych kątach...

Radca Baer (do Malwiny). A, ja rozumiem powody decyzji państwa. Chodziło o niedopuszczenie do licytacji. Ale państwo sami nie zatrzymają tego dla siebie, lecz zapewne sprzedadzą. Panie profesorze — oświadczam w imieniu królewskiej komisji kolonizacyjnej gotowość ewentualnego nabycia tego majątku z rąk pańskich. Ja też sobie wyobrażałem w ten sposób rozwiązanie kwestji. Zażegnanie licytacji, nabycie na własność — dla zaoszczędzenia wdowie i dzieciom przykrości, aby miały widzieć obcych, rozgospodarowujących się w majątku — potem sprzedaż. — Na tej tranzakcji nawet można zarobić. O, widzę, panie profesorze, że pan jest w każdym calu człowiekiem europejskim...

Malwina. Ach, jak to się składa wybornie. Czy tego nie możnaby uskutecznić na piśmie zaraz? — Pozbylibyśmy się kłopotu. Mój mąż to zrobił przez pamięć dla brata.

Profesor. Pozwól, Malwino! Panie radco! Czy komisja kolonizacyjna ma jaki specjalny cel w zabiegach o nabycie Księżopola? Bardzo mnie to interesuje.

Radca Baer. O, bezwątpienia. Ogromny. Chodzi tu o zdobycie pierwszego silnego oparcia w powiecie. W powiecie niema ani jednego majątku, gdzieby z czasem można było osadzić naszych kolonistów. Księżopole było słabym punktem powiatu. Tu musimy stanąć i zdobyć punkt operacyjny. Jest to nieskończenie ważne przy wyborach.

Profesor. A jeśli nie zdobędziecie? A jeśli Księżopola nie dostaniecie?

Radca Baer. Profesor żartuje...

Profesor. Bynajmniej panie radco, bynajmniej. Tak — interesuje mnie tylko to, że komisja kolonizacyjna liczy w tej sprawie na moją pomoc.

Radca Baer. I sądzi, że profesor jej nie odmówi.

Profesor. Panie radco — możemy mówić ze sobą bez ogródek, nieprawdaż?

Radca Baer. Słucham pana.

Profesor. Otóż radzę panu, aby pan nigdy osobiście nie robił Polakom propozycji nabycia

ziemi na kolonizację, bo pańska cenna osoba na szwank narażona...

Malwina. Mężu, co ty mówisz!

Radca Baer. Powiedział Pan: Polakom?

Profesor. Powiedziałem i proszę to pamiętać... Czy pan sądzi, że już tak nisko upadłem, że wam będę pomagał w wyzuwaniu z ojcowizny tego biednego ludu? Choć mnie bratobójcą nazwali... ale tego nie zrobię! Słyszysz, pan, panie radco z komisji kolonizacyjnej!? (Baer stoi osłupiały). Cóż pana tak dziwi, czy to, co z moich ust pan usłyszał?

Radca Baer. Państwo wybaczą — ale, szukając przed chwilą na korytarzu wejścia do ich pokoju, byłem świadkiem mimowolnym słów wyrzeczonych przez pana profosora w tym samym tonie. Wtedy podniesionym głosem dowodził pan profesor, że nikt nie ma jego i jego rodziny uważać za polską — czy coś w tym guście. W niespełna pięć minut pan profesor obraża się, gdy go uważam za Niemca. Wobec Polaków — Niemiec, wobec Niemców — Polak, czemże jest właściwie pan profesor, że ośmielę się zapytać?

Profesor (jakby nagle spojrzał w otchłań). Kim ja jestem? (z nagłą decyzją). — Zaraz panu dam na to odpowiedź (wybiega do drugiego pokoju).

SCENA X.

Malwina. Panie radco, niech pan wybaczy. W tych dwóch dniach przeszliśmy więcej niż — (słychać z przyległego pokoju strzał. Zrywają się oboje).

Malwina. Na Boga! co się stało!?

Radca Baer (biegnąc ku drzwiom). Panie profesorze!

Malwina (otwiera drzwi). Oh! — On się zabił... oh — oh....

Radca Baer (biegnie szybko na korytarz). Lekarza! pomocy — (we drzwiach spotyka Gertrudę).

Gertruda. Na miłość Boską! co się stało?

Radca Baer (ręką wskazuje na pokój obok). Tam... profesor... się zastrzelił!

(Gertruda z krzykiem biegnie do ojca).

Radca Baer (wybiegając). Dziwni, dziwni ludzie, doprawdy!

Z pism i książek.

Eliza Orzeszkowa: Argonauci Warszawa 1899. Argonautą jest przedewszystkiem Alojzy Darwid, miljoner, bohater kapitału, przedsiębiorca o wielkim rozmachu i ogromnej rzutkości. Drogą życiową, po której kroczy, jest gromadzenie bogactw. Trzymając w ręku nici tysiąca interesów, układa sieci olbrzymich spekulacji, tworzy coraz nowe, szersze plany, krusząc przeszkody żelazną wolą i pieniędzmi. Czasem, gdzieś w głębi jego istoty budzi się pytanie: po co to wszystko? Niekiedy jakaś gorycz nieświadoma ściśnie mu gardło. Lecz ten olbrzym pracy nie ma czasu na rozmowy z sobą, nie ma go nawet dla rodziny, — w domu bywa tylko gościem.

W tę rodzinę, którą otacza atmosfera wykwintu i przepychu, wkrada się rozkład, lęgnie się w niej jakieś znużenie życiowe, rozprzęgając węzły serdeczne. Darwid, dowiaduje się najpierw, o dawnym stosunku swej żony z Kranickim — także pewnego rodzaju argonautą — tylko o słabej, czułostkowej naturze. Bezwzględny, jakim był zawsze w interesach, Darwid nie ma przebaczenia dla żony, zrywa wszystkie nici, które go łączyły z tą kobietą. Syn Marjan, natura bogata, ale wyrafinowaniem kultury i zbytkiem rozłożona, z ojcem nie może się zrozumieć, więc go opuszcza. Córka Irena, jest również ofiarą wyradzającego się z przesytu znudzenia, lecz dla niej rozłam w życiu rodziców, staje się punktem moralnego oparcia, ratunkiem, wskazując jej pewien cel i obowiązki względem matki. Najmłodsza Kara, ukochane dziecko Darwida, cudowny delikatny kwiat, dowiedziawszy się o przyczynie zerwania ojca z matką, rozmyślnie nabawia się choroby i umiera. Darwid zostaje sam Rzuca się w wir interesów, by czemś zapełnić pustkę, ale napróżno. Wydaje mu się naraz, że idąc tak śmiało i hardo szlakiem życiowym, czegoś nie dopatrzył, coś ominął i oto teraz ogromna próżnia przed nim się rozwiera. Czuje ją wszędzie i szuka przed nią ucieczki w samobójstwie w chwili największych powodzeń finansowych. *L. O.*

Lud. Organ T-wa ludoznawczego we Lwowie. Ostatni zeszyt (zeszyt 2 tom VI) tego wydawnictwa zawiera J. Witorta: Filozofja pierwotna (ciąg dalszy) studjum B. Gustawicza »o ludzie podduklańskim w ogólności a Iwoniczanach w szczególności«, J. Schnaidra »Z kraju Hucułów«, Br. Kryczyński »Śpiewy hailkowe z Podhorzec« i dr. St. Eljasza Radzikowskiego »Styl zakopiański«. Do tego szkicu dołączono liczne, bardzo starannie wykonane ilustracje. Całości tego zaszczytu dopełnia pokaźny szereg sprawozdań i referatów.

Błędy językowe.

Czytamy na początku świeżo wydanej książki dla dzieci: »Kiedy Anglicy w r. 1879 zajęli holenderskie kolonie na Przylądku Dobrej Nadziei, składali się mieszkańcy onych z pracowitych rolników«. Po polsku mówimy kolonje holenderskie; kolonie, zamiast kolonje, przypomina Edypa w Kolonie; onych trąci myszką i kancelarją; dla czegoż nie poprostu ich? Dlaczego szyk niemiecki, zamiast: mieszkańcy ich składali się z rolników itd.?

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, ul. Kopernika 5.